



ZBLIŻENIE



Barbara Krafftówna





## ZBLIŻENIE

**Beata  
MODRZEJEWSKA**

– Przed wojną w nagrodę za dobre sprawowanie nie chodziłam na filmy z Shirleyką. Było to wielkie przeżycie. Nosiłam warkoczki. Fryzury jak Shirley Temple nie miałam, bo mi się włosy nie kręciły. Po wojnie gdy studiowałam, zaczęłam nosić loczki. Chciałam udowodnić, że już nie jestem dzieckiem. Kręciłam na noc tysiące papilotów techniką: tasiemka plus papierek. Na kawałek tasiemki założony był papierek, na który nawijało się włosy. Całość związywałam tasiemką. Można było tym systemem zrobić sobie a la trwałą, zwłaszcza za pomocą wody cukrzanej. Nikt wtedy o lakierach nie słyszał. Systemem naturalnym – burakiem robiło się rumieńce, a wodą cukrzaną usztywniało się włosy, gdy się szło na potańcówki. A teraz gram babcią.

– To wspaniała koleżanka, nieprzeciętna aktorka, która nie zagospodarowała swoim życiem, tak jak powinna. Jako człowiek – klasa w naszym zawodzie – mówi Edward Dziwoński

– Ma wszystkie cechy rzemieślnika: warsztat, punktualność, zaangażowanie i jest przy tym prawdziwą artystką. Ma wyraźną osobowość – wszystko, co robi ma kolor, barwę – ocenia Krafftównę Waldemar Dziki. – Ona ma pomysły, których realizacja komuś innemu by nie wyszła. A jej wychodzi. Ja ją kocham!

Barbara Krafftówna, rocznik 1928, wychowanka Studia Iwo Galla, jedna z najpopularniejszych aktorek lat 60. Drobna, ruda, o charakterystycznym głosie. Nagle wyjechała z Polski osiem lat temu i gdy wszyscy zaczęli się godzić z jej nieobecnością, nagle powróciła, w lutym 1993 r.

– Gdy mnie nie było, zaszły w Polsce kolosalne zmiany. Nie ma co do tego dyskusji – to cud. Zmieniło się, choć tylko niektóre miejsca zachwycają, te, które są nowe, czyste, odmalowane. Reszta jest ciągle parszywa. To boli.

Artyści polscy narzekają, że trudno o pracę, że muszą myśleć o pieniądzu, a nie o sztuce, którą uprawiają. Głośno mówią, że załamało się w Polsce życie artystyczne. Krafftówna wbrew czarnym opowieściom niektórych kolegów nie miała wrażeń, że przyjechała do kraju, gdzie są pełne sklepy i pustynia kulturalna.

– Szokowały mnie podobne opowieści, które nie wiem z czego i dlaczego się rodzą. Na mnie zwała się lawina propozycji. Dosłownie nie schodzę z planu. A moi koledzy, jak dawniej pracowali, tak i w tej chwili pracują. Reżyserzy, których spotkałam, wszyscy są na planach. Tylko niektórym ludziom zachwiała się kariera. Myślę, że to panika z powodu zmian strukturalnych, bo nie widzę krachu. Idą wspaniałe spektakle. Podczas wakacji koledzy wyjeżdżają na dwa miesiące urlopu. Może jest ciężiej niż było, ale nie ma zapaści i nie uwierzę, że może być. Mamy swoją wysoko rozwiniętą kulturę, bardzo wielkie tradycje – niezmiennie. I nic nas nie zmoże. Nic nie pokona tego narodu, mimo że jest udurczony i robi bokami, ale wspinał się zawsze radził i radzi.

Występowała nie tylko w teatrze, ale również na estradzie – przez siedem lat była w kabarecie „Pod Egidą” Jana Pietrzaka.

– Osoba niepozorna, ale o wielkiej sile artystycznej. Ma doskonały warsztat i osobowość, która nie pozwala publiczności ani na chwilę odetchnąć – mówi o Krafftównie Jan Pietrzak. – Czy miała szansę na sukces artystyczny w Stanach? To taki kraj, że każdy ma szansę, ale ona nie pojechała tam robić kariery, tylko z powodów prywatnych.

Wyjechała w 1985 r. jako gwiazda, szanowana przez krytykę, lubiana przez publiczność. Otrzymała propozycję grania w „Matce” Witkacego. Po angielsku. Podjęła się tego, choć nie znała angielskiego. Czy liczyła, że odniesie sukces na amerykańskiej scenie? Nie bała się porażki.

– Jeżeli przyjmuje się jakąś propozycję, to czy człowiek rozważa to jako szkodę? Nie. Jako nowość. Nie ruszałabym się nogą za plot, gdybym nie miała wcześniej jakiejś orientacji, czy podołam zadaniu, czy nie. Ameryka jest miem i będzie nim jeszcze przez jakiś czas. Od zarania za Ameryką stał wielki kapitał. Po prostu. Tam się „robiło” gwiazdy. Po dzisiejszy dzień wielkie amerykańskie imperium kinowe zamknięte jest w izolacji. Może teraz zaczyna się nieco rozpadać. Zmierzamy do uniwersalizacji, może do odzyskania utraconego wspólnego dla wszystkich pnia kulturowego, co sprawia, że zanikają indywidualne tradycje i kultury.

Do Polski ściągnął ją nie sentyment do Starego Kraju, ale rola w serialu „Bank nie z tej ziemi”, którą zaproponował jej Waldemar Dziki.

Szansą jest każda propozycja. Zawsze. Zresztą nie wiem, kiedy należy używać słowa „szansa”. Ono kojarzy mi się z dobieganiem do odjeżdżającego tramwaju: zdążyć, czy też motorniczy zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Jednak gdybym naprawdę chciała pojechać tym tramwajem to wyszłabym wcześniej na przystanek. Może o szansie należy mówić, gdy jest stracona. Gdy odrzuca się propozycję, a potem okazuje się, że film i rola są cudowne i przyniosły olbrzymie pieniądze. Straciło się szansę sławy, pozycji, zarobku.



Złota Cembrzyńska, Barbarą Wrzesińską, Krystyną Sienkiewicz, Aleksandrem Bardiniem, Gustawem Holoubkiem, Wiesławem Michnikowskim, Janem Piezakiem  
Fot. PAT-IRENEUSZ SOBIESZCZUK

# Reszta jest parszywa

– Przy układaniu obsady serialu zadaliśmy sobie pytanie: Dlaczego nie Krafftówna? Mieliliśmy wątpliwości, czy zechce przyjąć rolę, ale zdecydowaliśmy się postać jej scenariusz – wspomina Waldemar Dziki. – Jestem szczęśliwy, że przyjechała. O tym, że brakowało jej na rynku aktorskim świadczy fakt, że obecnie bardzo dużo kręci.

– Przyjechałam konkretnie do roboty i wpadłam w nią. System pracy w filmie bardzo się zmienił. Mamy bardzo ścisły plan pracy. Kiedyś wszystko było bardziej rozlane. Pracuje się dłużej niż dawniej, szybciej i w większym napięciu. Więcej metrów taśmy się kręci. Ku nieszczerściu wykonawców weszła nowa technika – taśmy magnetyczne. Stąd nagle narodziła się wielokrotność dubli, co jest absolutnie mordercze i nic nie wnosi. Jest święta zasada, że gdy scena jest dobrze opracowana, to zagrana pierwszy raz jest najlepsza. Gdy wszyscy są przygotowani, zespół techniczny i aktorzy, to pułd być nie może. Chyba, że technika stanie, albo ktoś się zakrzusi.

Popularność zawdzięcza telewizji, udziałowi w serialu „Czterej pancerni i pies” oraz w „Kabarecie Starszych Panów”. W jaki sposób do niego trafiła?

– Normalnie, jak do wszystkiego innego. Zadzwonił telefon. Zaproszenie do zagrania roli. Role do mnie przychodziły, odkąd wyszłam ze studia Iwo Galla. Była grupa młodych aktorów znanych ze sceny i reżyserzy filmowi i telewizyjni sięgali po aktorów teatralnych. To dotyczyło nas wszystkich. Nie liczeni byli zapomnieni czy niepotrzebni. Wielokrotnie w wywiadach czy tekstach o aktorach jest powtarzany zwrot, że ktoś tam nie miał szczęścia, a ktoś miał. I od tego łutu szczęścia rozpoczynała się wielka kariera. Można by powiedzieć, że miałam szczęście, bo poznałam Iwo Galla i trafiłam w jego ręce, do jego szkoły. A potem pod jego opieką wchodziłam w teatr. Byłam najmłodszą absolwentką Galla. Co śmiesznie brzmiało, bo cały zespół był bardzo młody i dwie najstarsze osoby podchodziły pod trzydziestkę. W naszym pojęciu byli to starcy. Chodziło się wtedy na pochody 1 majowe. Koledzy śmieli się, że Studio Galla idzie ze swoją rudą, czyli ze mną, a studio przy Teatrze Starym i Słowackiego ze swoją – Olą Słaską. Był to specyficzny okres w życiu ludzi, którzy przetrwali wojnę. Cieszyliśmy się wszystkim: wolnością, ciszą, spokojem. Potem przyszły gorsze czasy, ale generalnie powojenne społeczeństwo było niebywale szczęśliwe. Było bardzo biednie. Ceniło się każdy sznurek i każdy guzik. Stąd też

wiele osób z mojego pokolenia jest zbieraczami-chomikami. Ja w tym po prostu celuję. Zbieram wszystko, jeśli jest to związane z kimś lubianym, bliskim, z jakimś wydarzeniem. Zbieram pamiątki z życia teatralnego, fotografie, przedmioty. Nie zajmuję się kolekcjonerstwem – gromadzę to, w czym się zakochuję. Młodsze pokolenie nie ma żadnych sentymentów do przedmiotów. Wszystko się wyrzuca, wyrzuca...

Krafftówna zagrała w sumie w przeszło dwudziestu filmach, jednak rolę, w której najbardziej ujawniły się jej umiejętności aktorskie była Felicia w filmie z 1962 r. „Jak być kochaną”, gdzie partnerowała Zbigniewowi Cybulskiemu. Cybulski był już wówczas gwiazdą, czy nie obawiała się zagrać u jego boku?

– Nie miałam żadnych obaw. Dlaczego miałabym mieć? Ze względu na jego miłość? Wręcz przeciwnie. Taka postać jest podporą, pierwszym znakiem, że ludzie pójdą do kina. A jeżeli pójdą, to muszą obejrzeć również inną rolę – moją, bo co, oczy będą zamykać? Z Cybulskim pracowało się bardzo dobrze, był nadzwyczajnie koleżeńsko i niesłychanie kontaktowy. Był nie udawanym indywidualistą. Ludziom skrepowanym konwenansami wydawał się wręcz dziwny. Spodziewano się, że „Jak być kochaną” będzie dobrym filmem, że odniesie sukces w danym momencie. Ale nikt nie myślał, że zupełnie niespodziewanie przetrwa próbę czasu. Tyle już lat minęło, że zinnym oczkiem oglądam tę dziewczynę na ekranie.

Była aktorką bardzo znaną. Gdy wychodziła na spacer ze swoim wielkim psem – owczarkiem niemieckim, ludzie z pobliskiego biurowca stawali w oknach. Pozdrawiano ją na ulicy, zaczepiano.

– Czasem popularność jest trochę męcząca. Czasem bardzo. Człowiek jest zawsze na cenzurowanym. W Polsce zimą chodziłam niebywale opatulona, więc nikt mnie nie poznawał, dopóki się nie odezwałam. W Ameryce w kolejkach stoi się wyłącznie do kas w wielkich sklepach.

Są więc wydzielone ekspresowe kasy, w których płaci się pieniędzmi i nie wolno przekroczyć wyznaczonej liczby produktów. Zawsze brałam przy sobie kilka przedmiotów i leciałam do takiej ekspresowej kasy. Kiedyś przy kasie zapytałam o coś kasjerkę i nagle z drugiej, tasiemkowej kolejki ktoś krzyknął: „Pani Krafftówna!”. Wtedy padłam, bo nie spodziewałam się, że mnie ktoś rozpozna, do tego mówiącą po angielsku!

Syn Krafftówny nie został aktorem. Jest archeologiem. Jak znośił wielką popularność swojej matki w latach 60. i 70.?

– Trudno mi odpowiedzieć. Gdy był mały na ogół ze szkoły odbierał go ojciec. Kiedyś Piotrek mnie poprosił, czy nie mogłabym przyjść po niego. Powiedziałam: „Mogłabym, ale dlaczego nie chcesz, żeby przyprawił cię ojciec?” Odpowiedział: „Bo koledzy chcą cię poznać”. Odpowiedziałam: „Nie proszę, żebym przychodziła w charakterze małpy do pokazywania, tylko zaprosz koledzy do nas do domu.” Tak też się stało. Po maturze syn próbował zdawać na PWST, ale bez powodzenia. Ja stałam z boku. Nie wywierałam żadnego wpływu na niego. Młodzi ludzie są świadomi tego, czego chcą, co ich interesuje. Młodzież w naszych czasach bardzo szybko staje się partnerami dla dorosłych. Nie mówię o tych rozbebeszonych wariatkach, którzy sobie pióra wtykają albo się wystrzygają. To są mody i młodzi muszą przez to przejść. Nie ma na to wpływu tzw. dobry dom czy dobre wychowanie.

Ongiś w Warszawie mówiło się, że Krafftówna robi karierę, a jej mąż, Michał Gazda, również aktor, który nie odniósł takiego sukcesu, musi zajmować się dzieckiem i domem.

– U nas był podział. Ponieważ mieliśmy syna, do siedmiu lat chodził w loczkach, był rozpieszczany, głaskany i całowany. Potem dostał się pod męską rękę. Problem rywalizacji zawodowej pomiędzy małżonkami z całą pewnością musi istnieć, jeśli go nazywać problemem. To nie dobre określenie. To raczej zachwiana równowaga w identycznym zawodzie. Ludzie się do tego nie przyznają.

Krafftówna wróciła do Polski fetowana przez środowisko. Przyjechała do pracy, jak długo zostanie, nie wiadomo. Jednak nie wszyscy aktorzy kontentują się uprawianiem zawodu. Niektórzy są sfrustrowani – nie są już przewodnikami duchowymi narodu, autorytetami moralnymi. Zmianę tę przeżywają, jako zdeprecjonowanie rangi zawodu aktorskiego.

– Myślę, że wszyscy artyści, którzy połąkni bakcyła politycznym, albo mieli go w sobie, będą nadal działali. Jeśli jest taka potrzeba w kimś, to nie widzę powodu, żeby nie mógł jej realizować. Nie widzę przeszkód, by aktorzy interesowali się polityką. Ci, którzy chcą się tym zajmować, oczywiście.